

# CZADEK

Maj 2005

numer 9 (24)

cena: 0zł :)

XXVII L.O. im. Tadeusza Czackiego w Warszawie



A CZY TY WIESZ,  
CO ROBI  
TWÓJ KANAREK  
TEJ WIOSNY ?

## KUŚTĘPNIĄK

Witam Państwa! Ostatnimi czasy sporo u nas nowych produkcji, przede wszystkim wielkie maturalne show (w rolach głównych: uczniowie klas trzecich, nocująca w Szkole Dyrekcja i arkusze maturalne, dostarczane przez płatnych kurierów o czwartej rano), następnie – siejące postrach Gimnazjum na Polnej, kolebka przyszłych gangów warszawskich, a na koniec – zmienna, jak nigdy w maju, pogoda, gwarantująca każdego dnia niebywałe emocje przy Twoim domowym termometrze!

Zaglądamy też troszkę do kin, jak zwykle, zresztą, a także cofamy się w czasie do przedwojennej szkoły, by przekonać się, że co jak co, ale P.O. było i będzie trwać zawsze.

Zachęcamy również do poczytania o naszym Świętej Pamięci Papieżu – trochę niekonwencjonalnie, bo w liczbach (wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom osób z klas ścisłych)!

Na sam koniec końców po raz kolejny gorąco namawiamy do pojawiania się na zebraniach informacyjnych Czadka i PISANIA do nas!!!  
A, i oczywiście, miłej lektury!

ata

## NOWA MATURA...

**...rządzi się własnymi prawami. Kasztany nie kwitły, a maja próżno było w środku kwietnia wypatrywać. Nauczycieli na lekcjach też! I z jednej strony to bardzo nam tak dobrze, ale z drugiej, po dłuższej refleksji, człowiek zaczyna dochodzić do wniosku, że to nie do końca tak...**

Początkowo to była po prostu euforia! Przez dwa tygodnie nie mam w ogóle polskiego, co w przypadku mojego tegorocznego planu oznaczało przeważnie przychodzenie na drugą lub trzecią lekcję, ewentualnie wychodzenie godzinę wcześniej ze szkoły. Nie mam francuskiego i angielskiego, ogólny bałagan, a w perspektywie matury pisemne, czyli kolejne zastępstwa i brak zajęć. Żyć, nie umierać!

Konfrontacja z rzeczywistością okazuje się bardziej bolesna. Zamiast któregoś tam polskiego pojawia się trzecia już w tym tygodniu fizyka (dla mnie to prawdziwy horror), a także trzecia godzina P.O. (w tegorocznym planie mam jedną). Z braku innych możliwości (spowodowanych, nie inaczej, brakiem zajęć) nauczyciele wpisują wszystkie klasówki w tym samym tygodniu, bo akurat wtedy znów wypada lekcja. Sale zmieniają się jak w kalejdoskopie, zastępstwa też.

Najgorzej jest, rzecz jasna, z językiem polskim. Opóźnienie programowe zagląda w oczy, a tu kolejnych lekcji próżno wypatrywać. Nie trzeba być geniuszem, by wywnioskować, że potem każde zastępstwo będzie językiem polskim, tylko kto to wytrzyma? Nie wspomnę już o aferze z L.O. im. Poniatowskiego, którego

dyrektorka zapomniała wcześniej poinformować, że potrzebny jest jej w piątek „obcy” nauczyciel na maturę z polskiego, i zadzwoniła z pretensjami o 8.15 do Czackiego, czemu jeszcze nikt nie przyjechał. I tak, oprócz naszej Pani Profesor, która musiała przeorganizować sobie cały dzień, ucierpiała moja klasa, która zupełnie bez sensu przysłała do szkoły na pierwszą lekcję zamiast dwie godziny dłużej spać!

	PONIEDZIAŁEK	WTO R
1	P. O.	
2	P. O.	
3	FIZYKA	
4	P. O.	
5	P. O.	

Wydawało się wszystko takie leniwe i piękne, a okazało się często kompletnie zmarnowanym czasem i szalem nadrabiania zaległości. Ja naprawdę nie narzekam na wychodzenie wcześniej do domu, ale na czekające mnie nadprogramowe osiem godzin w piątek! Strach się bać, co będzie po pisemnych egzaminach, chyba pozapominamy, jak niektórzy nauczyciele w ogóle wyglądają! Owszem, podczas starej matury też nie było nauczycieli i lekcji, ale dwa dni to nie dwa tygodnie!

Nie za bardzo też wiadomo, do kogo mieć żal i pretensje. Bo raczej nie do Szkoły czy Dyrekcji, która robi, co może, by życie w Czackim biegło normalnym torem. Wygląda na to, że znów trzeba narzekać na samą reformę – ale ile można?! Co jeszcze okaże się skutkiem tej, jakże fatalnej, decyzji o Nowej Maturze? Czekam z niecierpliwością...

ata

## "SAMORZĄD SZKOLNY"

**Bardzo dumnie brzmi. Przeważnie są to puste słowa, ale nie w Czackim! Tu Samorząd oznacza organ, mający bardzo istotny wpływ na życie Szkoły. A przynajmniej do niedawna jeszcze tak było...**

Niestety, dzięki zniechęceniu przez wszystkich uczniów reformie szkolnictwa dane jest nam oglądać kadencje kolejnych samorządów o rok krócej, a co za tym idzie, rzadziej. Mamy mniejsze porównanie, mniej wzorów do naśladowania, mniej osób do współpracy. Oznacza to, moim zdaniem, że Samorząd nie ma tak zwanego „czasu do stracenia” – w krótkim czasie musi działać tak, żeby go wszyscy zapamiętali. Wyzwanie? Podobno to w naszych czasach bardzo popularne.

Mój pierwszy rok w Czackim upłynął pod znakiem Piotra K. Niestety, nie miałam przyjemności zapoznać się z działalnością Ewy Pawlak (która była przewodniczącą rok

## GDZIE DRECHY, TAM PECH

Ostatnio na terenie naszej Szkoły miał miejsce niemiły incydent. Uczniowi, grającemu na boisku w piłkę, próbowano ukraść plecak. Porozmawiałem z poszkodowanym, by ustalić, co się tak naprawdę wydarzyło... Takie małe dziennikarskie śledztwo!



**KoZa:** Słyszałem, że byłeś ofiarą ataku terrorystycznego „panów w fajnych spodniach”; albo ściślej, Twój plecak... Czy możesz to potwierdzić?

Ferd: Niestety tak, jest to prawda. Pewnego pięknego słonecznego dnia grałem sobie w piłkę na boisku przy naszej Szkole; jako że jest to wspaniała i pochłaniająca czynność, nie zwróciłem uwagi na to, że jakieś „drechy” próbują mi zabrać moją własność...

**KoZa:** Jak udało Ci się odbić plecak?

Ferd: To nie ja... Nie wiedziałem, że mi go zabrano. Pod szkołą te „drechy” natrafiły na grupkę absolwentów i - z tego, co mi wiadomo - także jednego obecnego ucznia Czackiego. To oni, widząc, że komuś chcą ukraść plecak, postanowili go odbić. Jestem im za to dożgonnie wdzięczny, tym bardziej, że mnie wcześniej nawet nie znali...

**KoZa:** Czy zostałeś w jakiś inny sposób poszkodowany?

Ferd: Nie.

**KoZa:** Czy czujesz się zagrożony na boisku Czackiego, czy też po prostu nie zwracasz uwagi na osoby, zagrażające bezpieczeństwu Twego mienia?

Ferd: Nie czuję się zagrożony na boisku Czackiego - po prostu następnym razem będę musiał bardziej uważać na rzeczy, które zostawiam bez opieki.

**KoZa:** Co, według Ciebie, powinno się zrobić, by zapobiec takim sytuacjom?

Ferd: Pozostawiam odpowiedź na to pytanie Dyrekcji naszej Szkoły. Nie mam pretensji do nikogo. To nie wina Szkoły. Taka sytuacja zawsze może mieć miejsce, a nie można przecież zakazać wszystkim wstępu na boisko, jeśli nie są „Czackiewiczami”. Mam jednak nadzieję, że Dyrekcja Szkoły, mając w pamięci to zdarzenie, rozważy, czy nie można czegoś w Czackim nieco ulepszyć...

wcześniej), ale może nie wpłynie to bardzo na moje rozważania. Nie da się ukryć, że Samorząd, prowadzony przez Piotrką, był po prostu widoczny! To nie byli ludzie, przemykający się gdzieś po kątach i od czasu do czasu mamrocący coś przez radiowęzeł o loterii fantowej. Gdy Piotrka głos rozbrzmiewał przez głośnik, wszyscy słuchali. Samorząd zyskał wtedy szacunek i status instytucji, która w naszej Szkole działa, rozwija się, a nie - istnieje tylko z nazwy. Usłyszałam kiedyś taką opinię jednego z absolwentów, że na Piotrką wszyscy początkowo patrzyli dość dziwnie, bo chciał on coś zmieniać, tworzyć, organizować. No proszę, opłaciło się...

Tegoroczne wybory przeprowadzone pod hasłem nowej ordynacji, wprowadzonej przez Dzikusa, wyniosły na szczyt kolejnego humanistę – Marcina Wieczorka. Słuchając go, naprawdę wierzyłam, że popchnie dalej, do przodu, wózek o nazwie Samorząd. Pamiętam obietnice zmiany Statutu Szkoły, imprez i „wiele innych”. Pomijam trochę śliską zapowiedź zainstalowania automatu do batoników, która również znalazła się na plakacie Marcina, a była, de facto, pomysłem Dzikusa. Jednak mniejsza o batoniki! Jak napisałam – wierzyłam, więc zagłosowałam.



Zaczęło się trochę niefortunnie, bo w szpitalu. I to już niczyja wina, że Konsul na samym początku kadencji miał problemy ze zdrowiem. Także słynna „Stożekgate” doczekała się ze strony Konsula bardzo ładnej i profesjonalnej reakcji. Ale dalej nie było, niestety, lepiej. Po pierwsze, o zebraniach notorycznie dowiadujemy się na ostatnią chwilę. I bardzo rzadko słychać ogłoszenia z radiowęzła.

Po drugie, Konsula w ogóle nie widać i nie słycać. Częściej natykam się na organizującą coś i zabieganą Agnieszkę Malinowską (warto tu też wspomnieć, że dopuszczenie jej do kandydowania w wyborach było mocno przez Marcina oprotestowane). Zastanawiający jest przypadek osób, które nadal zgłaszają się z różnymi sprawami do Dzikusa! Są niedoinformowane czy po prostu na tyle niebystre, że nie zauważyły zmiany kadencji?

Troszkę się zawiodłam. Na tym, że Marcina nie ma, a z nim nie ma zmian, które obiecywał, i nie ma „Czackiego Samorządu”. Cały czas wierzę, że jest jeszcze czas. A może zwyczajnie za długo już żyję legendą Dzikusa? Może...

m.

Wywiad przeprowadził KoZa

## 4. WARSZAWSKA PIELGRZYMKĄ MŁODZIEŻY DO KATYNIA

Do Katynia pojechaliśmy pod koniec kwietnia 2005 roku. Ja dołączyłam do uczestników dzięki konkursowi wiedzy o Katyniu „Katyń - przekazanie wiedzy i pamięci”, organizowanym przez Komisję Międzyzakładową Pracowników Oświaty NSZZ „Solidarność” Dzielnicy Warszawa Śródmieście i Urząd Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy. Napisałam pracę konkursową i udało mi się wygrać - nagrodą był udział w pielgrzymce do Katynia. Gdy tylko dowiedziałam się o wyjeździe, wiedziałam, że będzie to dla mnie bardzo ważna podróż; sprawa katyńska jest mi bowiem szczególnie bliska. Jako Polkę obowiązuje mnie, oczywiście, pamięć o pomordowanych rodakach, jednak pielgrzymka ta była czymś więcej niż tylko oddaniem hołdu poległym polskim żołnierzom. W Katyniu zginął mój pradziadek, Waław Ryttel – architekt, podporucznik rezerwy artylerii. Dlatego możliwość odwiedzenia tego miejsca była dla mnie szczególnie ważnym i wzruszającym wydarzeniem.

Nasza pielgrzymka rozpoczęła się 28 kwietnia na dworcu Centralnym w Warszawie. Mimo początkowych kłopotów z podzieleniem się na trójki według przedziałów, w pociągu szybko się poznaliśmy. Długa, szesnastogodzinna podróż, urozmaicana zmienianiem kół pociągu i wizytą białoruskich celników, minęła w miarę szybko.

Od wczesnego rana, 29 kwietnia, byliśmy na nogach. Przed śniadaniem w Smoleńsku poszliśmy na godzinny spacer na cmentarz żołnierzy niemieckich. Zaraz po śniadaniu pojechaliśmy już bezpośrednio na cmentarz katyński. Spodziewałam się zaniedbanego miejsca w środku lasu, z trudnym do znalezienia dojściem, skromną tabliczką. To, co zobaczyłam, przeszło jednak moje najśmielsze oczekiwania: duży teren, ogrodzony, wszystko ładnie utrzymane, zadbane, czyste... Ludziom, którzy opiekują się cmentarzem, należą się naprawdę wielkie słowa uznania.

Najpierw mieliśmy czas na obejrzenie cmentarza. Ja, oczywiście, od razu zaczęłam poszukiwania tabliczki pamiątkowej mojego pradziadka. Po kilku minutach udało mi się ją odnaleźć wśród wielu, wielu innych. Mogłam wreszcie zapalić świeczkę, być w miejscu, w którym bohatercko zginął on, a także tysiące polskich oficerów... To był bez wątpienia najbardziej wzruszający moment

naszej pielgrzymki. Później wszyscy wzięliśmy udział w mszy świętej, odprawianej na cmentarzu katyńskim przez księdza, który przyjechał z nami z Warszawy, a następnie ustawialiśmy znicze, flagi polskie, kwiaty... Po naszej wizycie cmentarz prawie tonął w bieli i czerwieni.

Następnie pojechaliśmy do Smoleńska, zwiedziliśmy kawałek miasta i cerkiew prawosławną; akurat trafiliśmy na nabożeństwo Wielkopiątkowe, więc mieliśmy okazję posłuchać wspaniałego śpiewu cerkiewnego chóru. Po południu odwiedziliśmy polską parafię, prowadzoną przez ks. Ptolemeusza, Polaka, który przyjechał kiedyś do Smoleńska na 2 tygodnie i został tam aż do dzisiaj.

Wieczorem spotkaliśmy się z Polonią, mieszkającą w Smoleńsku. Gdy tylko weszliśmy do sali, w której miało odbyć się spotkanie, wszyscy zaczęli machać biało-czerwonymi chorągiewkami, śpiewali: „Witamy Was...”. Nikt z nas nie spodziewał się takiego przyjęcia, naprawdę było to dla nas wielkie zaskoczenie! W bardzo przyjaznej atmosferze zaczęliśmy wspólnie śpiewać polskie piosenki, żartować... To spotkanie niewątpliwie zapamiętam na długo.

Wszyscy na pewno chcieliby dłużej zostać w Smoleńsku, jednak nasz program był bardzo napięty.

Musieliśmy niedługo pożegnać się z Polonią, bo odjazd pociągu zbliżał się nieuchronnie. Zdążyliśmy jeszcze pojechać do Katynia, by ostatni raz pomodlić się za naszych Rodaków, wspomnieć ich życie i śmierć. Późnym wieczorem wsiedliśmy do pociągu. Tym razem, niestety, jechaliśmy rosyjskimi wagonami; co do ich standardu, powiem krótko – nikomu nie życzę takiego doświadczenia.

Emocje, związane z pobytem na cmentarzu w Katyniu, były naprawdę ogromne. Nareszcie mogłam znaleźć się w miejscu śmierci tysięcy polskich żołnierzy, mogłam złożyć im hołd za odwagę, patriotyzm, poświęcenie.

Wreszcie mogłam zapalić światełko mojemu pradziadkowi i stanąć nad jego grobem. Poznałam kawałek dzisiejszej Rosji, coś, co wydawało mi się przeszłością znaną tylko z filmów i opowiadań; tu okazało się rzeczywistością – wszędzie czerwone flagi, portrety Lenina, monumentalne budowle, symbole ideologii komunistycznej... Jakby inny wymiar!

Jak widać, moja wyprawa do Rosji przyniosła same korzyści, zarówno duchowe,

jak i „turystyczno-poznawcze”. Dlatego, jeśli ktoś będzie miał kiedyś okazję wybrać się na taką pielgrzymkę, niech za nic z tego nie rezygnuje! Naprawdę warto, a emocji, jakie towarzyszą wizycie na cmentarzu, nie da się ani opisać, ani z niczym porównać. Tam trzeba po prostu być, to trzeba poczuć! Tak jak i ja poczułam.

Aga



## DOM LATAJĄCYCH SZTYLETÓW

„Dom latających sztyletów” był długo oczekiwanym filmem Zhang Ymiou, reżysera „Hero”. Wszyscy zadawali sobie pytanie, czy uda mu się stworzyć obraz jeszcze bardziej barwny i plastyczny, co oznaczałoby przełamanie bariery kinematografii, ponieważ kolejna granica między dziełem malarskim a filmem zostałaby zniesiona...



Akcja filmu przenosi nas do Chin, do roku 859 naszej ery. Właśnie w tym okresie dynastia Tang chyli się ku upadkowi, czego powodem, zresztą jednym z wielu, jest działalność buntowników, których najpotężniejszy przedstawiciel to tytułowy Dom Latających Sztyletów. Dwaj kapitanowie armii chińskiej – Leo (Andy Lau) i Jin (Takeshi Kaneshiro) - mają pozbyć się tego zagrożenia. Ich zadanie to dotrzeć do dowódcy rebeliantów poprzez... Nie, tego już nie zdradzę, to trzeba zobaczyć..., musi pozostać jakiś element zaskoczenia.

Wszystko, dosłownie wszystko w tym filmie jest niezwykle malownicze – od przechadzki po więziennych lochach, przez jazdę na koniu po bezdrożach kraju, aż po... walki! Tak, te ostatnie nakręcone są szczególnie efektownie – Zhang Ymiou bije na głowę to, co pokazał już we wspomnianym wcześniej „Hero”. Cała choreografia (choreografia walki, żeby nie było wątpliwości), dopracowana została w najmniejszych szczegółach, a dynamizm tych scen z pewnością może podnieść poziom adrenaliny! Do sfilmowania użyto najnowszych technologii rodem z wysokobudżetowych filmów hollywoodzkich. Widok lejących majestatycznie sztyletów czy też strzał zapiera dech w piersiach.

Muszę dodać, że oglądając „Dom...”, odnosiłem momentami wrażenie, że ktoś przewija mi przed oczami kolejne dzieła malarskie. Na szczególne uznanie zasługuje jedna z pierwszych scen filmu – gra kapitana Leo w „echo” z niewidomą Chinką. Scena była tak genialna, iż żałowałem, że skończyła się tak szybko. Na specjalną uwagę zasługuje również dobór barw – chociażby niezmiernie czerwona krew na idealnie białym śniegu – dzięki temu uzyskano świetny efekt surrealizmu.

Właśnie, ten film jest baśnią i trzeba pamiętać o tym podczas jego oglądania! Ową baśniowość czuć we wszystkim – również w dialogach. Tutaj też, niestety, wychodzi na jaw jeden z największych mankamentów filmu. Kwestie są rażąco naiwne. W końcu męczące stało się także oglądanie śmierci bohaterów po trzykroć albo i częściej. Jednak są to jedyne wady „Domu Latających Sztyletów”, jakich się dopatrzyłem.

Wszystkie postacie, nieważne czy wojownicy, czy urzędnicy, są odziane w piękne, barwne stroje. Byłem ciekaw, jak wypadnie gra aktorska. Obawiałem się zbyt teatralności i sztuczności, ale, jak się okazało, moje wątpliwości były całkiem bezpodstawne. Na największe uznanie zasługuje Takeshi Kaneshiro, odtwórca roli Jin – był po prostu świetny i naprawdę przekonujący.

Podkreśleniem całego klimatu jest doskonała muzyka autorstwa Shigeru Umebayashi. Ma ona niezwykle istotny udział w filmie, gdyż nie tylko jest elementem podkładu, ale również uczestniczy w wyrażaniu emocji bohaterów. Tło muzyczne we wspomnianej wcześniej grze w „echo” to prawdziwa perełka!

Jeśli zakochaliście się w „Zawieście czerwone latarnie”, a po „Hero” nie chcieliście wyjść z kina, to „Dom Latających Sztyletów” jest filmem dla Was. A co, jeśli nie lubicie baśni? Wtedy możliwe, że nie docenicie tego filmu tak, jak na to zasługuje. Ale zawsze warto pamiętać, że stanowi on miłą odskocznicę od oferowanych nam ciągle typowych amerykańskich produkcji. Zdecydowanie warto dać mu szansę! Kolejna bariera została przełamana...

KoZa

## W DOBOROWYM TOWARZYSTWIE

Czasem człowieka nachodzi chęć obejrzenia filmu miłego, lekkiego i przyjemnego. Powinien być obrzydliwie politycznie poprawny i z obowiązkowym happy endem. Gdyby jeszcze śmieszył raz na kilka minut, to już byłoby wręcz cudownie. Właśnie z myślą o takich chwilach został stworzony najnowszy film Paula Wietza – „W doborowym towarzystwie”. Warto wspomnieć, że ten pan dostarczał już nam zabawy przy okazji filmów „Był sobie chłopiec”, czy „Mrówka Z”. Gdyby sprawdzać zgodność „In good company” z przedstawionym powyżej ideałem, to otrzymany wynik na pewno oscylowałby w okolicach 100%.

Przyjemna, sztampowa fabuła doskonale pasuje do lekkiej konwencji. Na talerzu dostajemy opowieść o perypetiach 50-letniego weterana branży reklamowej, Dana Foremana (Dennis Quaid) i jego nowego szefa – 26-letniego „złotego dzieciaka” (Topher Grace). Mamy tu wszystko – zwolnienia, awanse i romanse. Jedyne problem stanowi przesadzony kontrast między „tymi dobrymi” i „tymi złymi”. Najlepszym przykładem jest mecz koszykówki – żli i wulgarni przedstawiciele GlobeCom w czarnych koszulkach, kontra dobrzy i mili kumple Quaida w strojach białych.

Bardzo pozytywnie zaskoczyła mnie muzyka, przygotowana przez Stephena Traska. Kawałki wpadały w ucho i, o dziwo, zapadły mi w pamięć. Chętnie bym posłuchał jeszcze utworów tego pana w innych filmach – zobaczymy, czy poradzi sobie równie dobrze.

O stronach technicznych filmu nie ma się za bardzo co rozpisywać. Montaż był jak najbardziej poprawny, a ujęcia trafnie dobrane. Niestety, o aktorstwie też można jedynie powiedzieć, że było poprawne i nic ponadto. Jedyne wyjątkiem, ale wcale nie takim dużym, był oczywiście Dennis Quaid.

Reasumując: „W doborowym towarzystwie” jest dobrym wyborem, gdy macie trochę wolnej gotówki oraz czas w sobotę, z którym nie wiecie, co zrobić. Zawieść się nie zawiedziecie, bo i nie ma na czym. Ot, kolejny lekki film na poprawę humoru.

KoZa

## PAPIEŻ JAN PAWEŁ II W LICZBACH

- data wyboru na papieża: 16 października 1978 r.
- długość pontyfikatu: prawie 27 lat (III miejsce wśród 265 papieży)
- pierwsza podróż: do Republiki Dominikańskiej, Meksyku i na Wyspy Bahama , styczeń 1979 r.
- najdalsza i najdłuższa podróż zagraniczna: na Daleki Wschód i do Oceanii (18 listopada - 1 grudnia 1986 r.) - 48 974 km w ciągu 13 dni, 6 godzin i 15 minut
- pielgrzymki do : 132 krajów oraz około 900 miejscowości
- 586 dni w podróży; ponad 1 700 000 pokonanych km
- prawie 7 % pontyfikatu spędzone poza Włochami
- najczęściej odwiedzane kraje : Polska – 9 razy; USA i Francja – 7 razy; Meksyk i Hiszpania - 5 razy
- ponad 2400 wygłoszonych przemówień
- rok największej aktywności Jana Pawła II w Rzymie: 1983 (49 audiencji generalnych)
- liczba osób słuchających papieża na audiencjach w 1979r. - 1,585 mln
- łącznie ponad 1020 audiencji generalnych
- 14 encyklik
- 14 adhortacji
- 11 konstytucji apostolskich
- 43 listy apostolskie
- 232 mianowanych kardynałów (w tym 10 Polaków)
- kanonizacje 478 świętych (w tym 9 Polaków oraz dwóch świętych związanych z Polską)
- 1318 beatyfikacji (w tym 154 Polaków)
- przewodnictwo na 6 zgromadzeniach generalnych zwyczajnych, 1 nadzwyczajnym, 7 specjalnych synodu biskupów
- spotkania z ponad 1350 osobistościami politycznymi

**"Nie lękajcie się! Otwórzcie, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi!"**

**Módlcie się za mnie, abym nauczył się bardziej miłować Pana. Módlcie się za mnie, abym się nauczył bardziej miłować Jego trzodę - ciebie, Kościele święty.**

**To nie moc zbawia, lecz miłość!**



**Cierpimy z powodu cierpliwości Boga. Tymczasem wszyscy potrzebujemy Jego cierpliwości. Bóg stał się barankiem, mówi nam, że świat jest zbawiony przez Ukrzyżowanego, a nie przez tych, którzy krzyżują. Świat jest zbawiany dzięki Bożej cierpliwości, a niszczone przez ludzką niecierpliwość.**

**My wszyscy jesteśmy wspólnotą świętych, my, ochrzczeni w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, my, którzy żyjemy darem Ciała i Krwi Chrystusa, poprzez który pragnie nas przemienić i uczynić podobnymi sobie.**

**Przypowieść o zagubionej owcy, której pasterz szuka na pustyni, była dla Ojców Kościoła obrazem tajemnicy Chrystusa i Kościoła. My wszyscy, cała ludzkość, jest tą zagubioną owcą, która nie odnajduje już drogi na pustyni.**

**Panie, pamiętaj, co przyrzekłeś, spraw, byśmy byli jednym pasterzem i jedną trzodą!**

**Kto wpuszcza Chrystusa, nie traci nic, absolutnie nic z tego, co czyni życie wolnym, pięknym i wielkim. Nie! Tylko w tej przyjaźni otwierają się na oścież drzwi życia. Tylko w tej przyjaźni rzeczywiście otwierają się wielkie możliwości człowieka. Tylko w tej przyjaźni doświadczamy tego, co jest piękne i co wyzwala.**

**Ten, kto wierzy, nigdy nie jest sam - nie jest sam ani za życia, ani w chwili śmierci.**

## SZKOŁA OSIEMDZIESIĄT LAT TEMU...

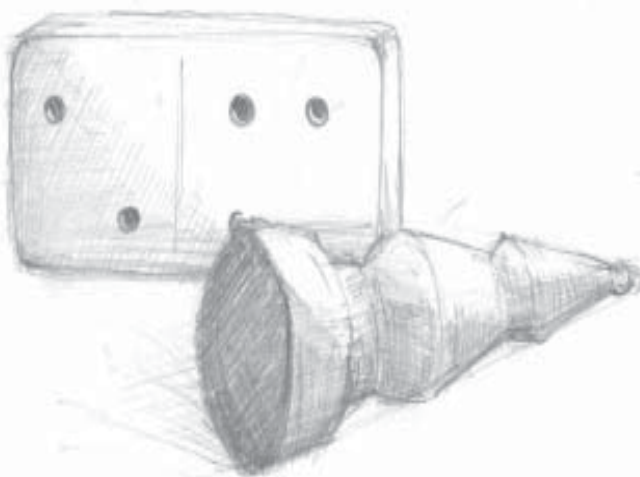
Reforma goni reformę. Stara matura, nowa matura, podstawówka i czteroletnie liceum, czy też podstawówka, gimnazjum i trzyletnie liceum, nikomu nieznane zasady rekrutacji (bo nie wierzę, że „ci z kuratorium” się w tym w pełni orientują) – i właściwie człowiek nie wie, czy jeśli jeszcze wczoraj chodził do trzyletniego liceum ogólnokształcącego, to przypadkiem jutro się nie okaże, że chodzi do sześcioletniego gimnazjum profilowanego. Kiedy zaczynaliśmy edukację, nawet nam się nie śniło o gimnazjach; aż się boję myśleć, o czym nie śni nam się teraz. A swoją drogą ciekawe, jak będzie wyglądała edukacja za jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat... Możliwości są zaskakujące – może co dwa lata w innej szkole? Może aż do matury w jednej i tej samej? A może powrót do tego, co było?

Tak właśnie sobie rozumując, zaczęłam się zastanawiać, jak tak naprawdę wyglądała szkoła osiemdziesiąt lat temu. Nie tylko jaki był system edukacji – ile klas itp., ale jak wyglądało szkolne życie. Ostatnio miałam okazję się dowiedzieć – w moje ręce wpadło istne cudziśno, wręcz relikwii historyczny: „Sprawozdanie dyrektora państwowego gimnazjum II im. Prof. Kazimierza Morawskiego w Przemyślu za rok szkolny 1925/26”. Czyli właśnie osiemdziesiąt lat temu.

No, siedemdziesiąt dziewięć, ale to i tak to samo, co osiemdziesiąt. Proszę, mam teraz idealną okazję, żeby sobie porównać szkołę przemyską sprzed osiemdziesięciu lat i naszą warszawską, teraźniejszą. Gdzie było lepiej? Jakie są podobieństwa i różnice pomiędzy szkołami, które dzieli taka przepaść dziejowa?

Czytam sobie kolejne rozdziały „sprawozdania...” i próbuję porównać informacje w nim zawarte z tym, co wiem o naszej Szkole. Lektura wręcz fascynująca.

Najpierw zbiory naukowe szkoły w Przemyślu. Nie ma sensu wymieniać wszystkiego, ale warto zauważyć, że klasy przedmiotowe zaopatrzone mieli pierwszorzędnie. „Gabinet fizyczny posiada: 46 przyrządów z działu dynamiki ciał płynnych, 33 z działu ciał lotnych, 18 z działu nauki o ciepłe...” i tak dalej, i tak dalej. Nie chcę wypominać, ale nie sądzę, żeby nasz Czacki posiadał np. 106 eksponatów z działu nauki o elektryczności (kontakty? gniazda elektryczne? no, chyba, że tak), nie mamy też raczej 368 minerałów do nauki botaniki ani 40 imitacji drogich kamieni. Trzeba oddać sprawiedliwość, że my też mamy eksponaty – i na przykład trudno przeoczyć przekrój poprzeczny szczura czy coś równie okropnego w sali 20, ale wydaje mi się, że, niestety, jeśli chodzi o ilość „pomocy” – odpadamy w przedbiegach.



Zastanawiam się też, kto liczył te wszystkie pomoce naukowe bez wsparcia np. komputera. Ciekawe, kto zinwentaryzował „księgozbiór czytelnicy, liczący 554 dzieła w 594 tomach” – przecież nie mieli komputerowej rejestracji bibliotecznej. Aż się rozczulam na myśl o kimś, komu zlecił tę morderczą inwentaryzację, kto drżącą ręką wskazuje na kolejne książki, licząc cichutko „jeden, dwa, trzy...”. No, może nie wyglądało to właśnie tak, ale i tak współczuję temu człowiekowi. Swoją drogą ciekawe, ile książek mieści się w naszej bibliotece (o, pardon, czytelnicy multimedialnej). I wprawdzie uczniowie gimnazjum w Przemyślu raczej nie mieli ani jednego komputera, ale za to mieli „do dyspozycji (...) gry: dwie partie szachów, domino, matador, bieg, dudek” – bo to była spokojna i zrównoważona młodzież, nie to, co teraz. Taki osiemnastolatek szedł sobie do biblioteki, żeby pograć w domino, a nie po to, żeby rozsyłać maile, siedzieć na gadu-gadu czy coś w tym rodzaju. Ciekawe,

czy musieli wpisywać się na listę (imię, nazwisko, klasa i godzina, w której korzystałeś z „dudka”). Choć swoją drogą, czy nie byłoby miło mieć w Czackim szachy i w ten sposób relaksować się na przerwie?

Przechadzając się po naszej Szkole, zahaczam wzrokiem o drzwi gabinetu pielęgniarki. Właściwie nasza opieka medyczna ma się całkiem dobrze – zapas leków od bólu głowy i na przeziębienie jest naprawdę wystarczający. Jednak,

niestety, na tym polu też chyba polegniemy, gdy przyjdzie do porównania z prowincjonalną szkołą z lat dwudziestych – nie dość, że za opłatą 20 gr. miesięcznie uczniowie korzystali z pomocy dentystrycznej („zaplombowanie materiałem trwałym – porcelana, srebro – zębów chorych”), to jeszcze korzystali sobie z bezpłatnych konsultacji u chirurga, okulisty, laryngologa i dermatologa!

Natomiast jak już się wyleczyli z wszelkich przypadłości, mogli oddać się szlachetnemu hobby, jakim jest sport. Do wyboru mieli lekkoatletykę, piłkę nożną, piłkę koszykową, piłkę siatkową, narciarstwo i wioślarstwo. Może nam byłoby nieco trudniej, jeśli chodzi o narciarstwo, ale za to o piłce nożnej w Czackim można by pisać całe epistoły – nikomu chyba nie trzeba udowadniać, że piłka nożna w Czackim jest i to na dość zaszczytnym miejscu (że wspomnę „Soccer Raiders”, które udowodniło, na jak bardzo zaszczytnym). Swoją drogą, kochani piłkarze, ile nasza Szkoła posiada piłek? Ta w Przemyślu posiadała osiem. A poza tym: „dwa garnitury kostiumów” (czyli dwa komplety) i „16 par bucików”. No nie! Uważam, że reprezentacje klas już powinny pisać petycje do Dyrekcji o „służbowe” buty i stroje! No, nie bądźmy gorsi - chociaż o trampki!

Ku własnej nieopisanej radości odnajduję sprawozdania z lekcji PO osiemdziesiąt lat temu!



## CZUJĘ SIĘ OSZUKANA -

- refleksje na temat wiosennej pogody

Czuję się oszukana. Oszukana okropnie, perfidnie i z premedytacją. Wszyscy wiedzą, że w zimie jest szaro, ciemno i zimno, a w lecie kolorowo, jasno i ciepło. To powinien być aksjomat, niepodważalny, sprawdzony fakt. A tymczasem wstaję rano – na dworze słońce świeci jak szalone, kwiaty kwitną, trawa soczyście zielona – jest ślicznie, jest jasno, jest wiosennie, ale dlaczego nie jest ciepło?! Otwieram okno i przenika mnie powiew bardzo chłodnego powietrza; no dobra, mało powiedziane – lodowatego wiatru. Jestem zawiedziona. Należę do grupy osób, którym z dzieciństwa pozostało przekonanie, że 21 marca temperatura nagle powinna skoczyć o jakieś dwadzieścia stopni, że powinna zacząć się wiosna! Po co inaczej ustalano by ten cały „pierwszy dzień...”? Zawsze 21 marca czuję się wodzona za nos, smutna itd. Jednak w tym roku postanowiłam się nie poddawać! Męźnie wychodzę sobie na balkon, na którym stoi ogrodowy stolik i krzeselko, i postanawiam uczyć się na dworze. Po pierwszej minucie mam wrażenie, że zamarłam. Ale nie dam się tak łatwo! O, nie. Zakładam dwa swetry, dwie bluzy i uczę się dalej. Po chwili idę po zimową kurtkę. No, od razu lepiej. Po kolejnym kwadransie decyduję się na duży kubek gorącej herbaty i udaję, że to przyjemnie ciepelko to wcale nie zasługa pięciowarstwowego zimowego ubranka i herbatki, tylko ciepłego, letniego słońca. Kiedy opuszczam balkon na chwilkę, żeby zrobić sobie kolejne pół litra herbaty, moja mama patrzy na mnie dziwnie i mówi tylko: „włóż zimowe skarpety”. Ależ to świetny pomysł! Wiedziałam, że czegoś mi jeszcze brakuje. Mogę uczyć się dalej... Na balkon wychodzi mój pies, zaciekawiony, co się dzieje. Po chwili trzęsie się jak osika i patrzy na mnie z wyrzutem. Pewnie myśli, że jestem nienormalna. Rozglądam się dookoła – nawet żonkile trzęsą się z zimna! To znaczy, tak naprawdę, że wiatr nimi trzęsie, ale przecież na jedno wychodzi. Do karmnika zawieszzonego na drzewie przylatują wróble i sikorki. Strasznie się przyzwyczały do luksusu – miały mieć karmnik na zimę, a teraz to już nawet wiosną nie chce im się szukać pożywienia, tylko sobie korzystają z gotowej jadłodajni. Chyba im zabiorę karmnik, bo zatracą instynkt. Tak jak mój kanarek, który przyzwyczajony do domowego ciepelka, z okazji nadejścia (kalendarzowej!) wiosny postanowił „zdjąć zimowe ubranko” i wyskubał sobie wszystkie pióra z łebka. Nie wiem, jak to zrobić, ale wygląda teraz jak kanarkowy skin i trzeba go smarować oliwką, żeby nie zmarzł. Ale i tak jest lepiej niż w zeszłym roku, kiedy oskubał się dokładnie całutki – i potem siedział jak głupek wysmarowany tą swoją oliwką. Dobrze, że w ogóle przeżył. Idę po kolejną herbatę. Mój tata wchodzi do pokoju, wzdryga się i mówi: „ale tu zimno!”. No a jak ma niby być na przełomie kwietnia i maja? W końcu „kwiecień – plecień...” itd. Po trzech godzinach nauki na balkonie – wracam do środka. Mam katar. Ale może od jutra będzie już gorąco...

„Większość (uczniów) z prawdziwym zajęciem starała się przyswoić sobie jak najwięcej wiadomości wojskowych” – czytam. To tak samo jak my! „Instruktor (...), oceniając należycie doniosłość przysposobienia wojskowego wśród młodzieży szkolnej, ochoczo i w sposób przystępny ćwiczył uczniów w strzelaniu, musztrze, zaznajamiał ich z różnymi systemami broni palnej, z nauką o zastosowaniu gazów w wojnie (...) itd.”. – No proszę! Nic a nic się nie zmieniło przez osiemdziesiąt lat! Być może to jedyny stały punkt w polskiej edukacji, jedyny pewnik w morzu niepewności związanych z reformami. Gdziekolwiek byś nie był, w jakiegokolwiek epoce – PO będzie zawsze takie samo! Hura!

Właściwie ta szkoła sprzed osiemdziesięciu lat wydaje się całkiem przyjemna. Do czasu! Zaglądam na ostatnią stronę, na której widnieje złowróżbna informacja: „Uczniom wolno mieszkać jedynie na tych stancjach, którym Dyrekcja na to pozwoli. Dyrektorowi Zakładu i członkom Grona nauczycielskiego przysługuje prawo zwiedzania w każdym czasie mieszkań uczniów”. O rany! Znakomicie poradzili sobie z dzisiejszą bolączką nauczycieli – egzekwowaniem regulaminu poza szkołą. Nie znasz dnia ani godziny. Wyobrażacie sobie to w dzisiejszych czasach? Impreza, znajomi...puk, puk – wychowawca. A zresztą – ten komunikat przecież nie wymaga komentarza, każdy może sobie wyobrazić, co to może znaczyć.

Życie ucznia osiemdziesiąt lat temu musiało być jednak okropne. Zaglądam do imiennego spisu. Wyszczególnieni uczniowie poszczególnych klas, podana liczba tych, którzy nie zdali, i tych, którzy zdali warunkowo. Znajduję tylko dwie klasy, w których udało się zdać wszystkim uczniom. Rekord bije klasa siedemnastoosobowa, z której czternastu uczniów uznano za „niezdolnionych do klasy następnej”, a dwóch „przeznaczono do egzaminu poprawczego po wakacjach”. Najwyraźniej ostał się jeden, któremu udało się zakończyć ten rok edukacji... Oj, w takim razie nasz Czacki jawi się jako jakaś ostoja, w której uczniowie mogą się odprężyć i poczuć jak w domu. I co z tego, że nie mamy domina w bibliotece, a nasi piłkarze grają w butach przyniesionych z domu. Co z tego, że nie wypełniają nam zębów srebrem. Kiedy wracamy do domu, mamy jednak pewność, że nie grozi nam nagła wizyta dyrekcji, a i rozpiętość wieku poszczególnych uczniów w danej klasie nie wynosi średnio pięciu lat, jak to było dawniej. Co za ulga! Kochany Czacki, już nigdy nie powiem, że mam za dużo nauki i nie mam spokoju w domu. Właściwie czemu ja tak kiedykolwiek mówiłam?



Kaśa

Kaśa

## KTOKOLWIEK WIDZIAŁ, KTOKOLWIEK NIE...

Pewnie wszyscy zauważyliśmy, że ludzi da się podzielić na dwie grupy: pesymistów (*zwanych także realistami*) i optymistów. Szalenie istotne, by umieć je od siebie odróżnić. Na pewno każdy ma już jakąś wyrobioną opinię na ten temat; ja także poczyniłam pewne spostrzeżenia i oto, co wywnioskowałam...

### OPTYMISTA:

- ☞ Spotyka się go częściej w dobrym niż w złym humorze.
- ☞ Miewa zmarszczki „od śmiechu”.
- ☞ Nuci sobie często pod nosem i podśpiewuje.
- ☞ Jest przekonany, że zda maturę.
- ☞ Nie wierzy w przesady.
- ☞ Irytuje innych (zwłaszcza pesymistów) swoimi poglądami na świat.
- ☞ Każde opowiadanie kończy stwierdzeniem „ale fajnie było” (tak jak i harcerki).
- ☞ Porywa się na rzeczy niewykonalne i, o dziwo, wykonuje je (przynajmniej w większości wypadków).

### PESYMISTA:

- ☞ Uwielbia oglądać „Ktokolwiek widział...”, bo potwierdza się jego światopogląd.
- ☞ Uważa optymistów za naiwnych idiotów.
- ☞ Narzeka częściej, niż nie narzeka.
- ☞ Lubi przepowiadać innym przyszłość (oczywiście, mało optymistyczną).
- ☞ Nie gra na giełdzie, bo i tak nie wygra.
- ☞ Jest przekonany, że nie zda matury.
- ☞ Jest przekonany, że jeśli ją zda, to i tak nie dostanie się na studia.
- ☞ Jest przekonany, że jeśli nawet dostanie się na studia, to go wyleją po pierwszej sesji.

No to teraz możecie sobie zrobić psychoteścik. Policzcie, z iloma stwierdzeniami z powyższych rubryczek się zgadzacie i odkryjcie swoją osobowość :)

A jak wpływają obie grupy na społeczeństwo? Wyobraźmy sobie taką oto sytuację: Ziuta przychodzi do szkoły. Na dworze straszna pogoda, deszcz leje, wiatr wieje, niebo szare. Ziuta ma dziś klasówkę z chemii i dwie T.I. Można przypuszczać, że Ziuta nie ma najwspanialszego humoru. No i owa Ziuta spotyka na swej drodze, zaraz po wejściu, optymistę..... (możecie w miejsce kropeczek wstawić imię znanego Wam optymisty). Optymista twierdzi, że deszcz jest piękny, więc wychodzi przed szkołę i zaczyna się tańczyć w błotku. Potem, nucąc sobie cichutko, postanawia naprawić ksero na pierwszym piętrze, co mu się udaje. Przekonany o tym, że on i Ziuta zdadzą maturę, namawia ją na

zrezygnowanie z nauki T.I. (*na zrezygnowanie, nie zerwanie się*)<sup>1</sup> i w zamian proponuje wycieczkę do baru mlecznego „Prasowy”. No i cóż, drogi czytelniku? Czyż humor Ziuty nie poprawił się diametralnie? A co z całą społecznością Czackiewiczów, którzy wreszcie mogą kserować swe notatki, ucząc się jednocześnie na przerwach języków obcych...? Szczęście zagościło na świecie!!!

No a sytuacja odwrotna... Ziuta przychodzi do szkoły w ww. okolicznościach i spotyka pesymistę..... (a teraz możecie wpisać imię znanego Wam pesymisty). Pesymista informuje ją, że deszcz padać będzie jeszcze przez dni parę i Ziuta, jak już zmoknie, będzie chora. Następnie pesymista opowiada o historii z ostatniego odcinka „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...” i ostrzega ją przed mordercą, który podaje się za szefa ochrony elektrowni na Tajwanie. Na dźwięk dzwonka po plecach pesymisty przebiega dreszcz; łapie on Ziutę pod rękę i gna czym prędzej do pracowni 4<sup>A</sup>, wszak inaczej nie zdadzą matury z T.I. Takim oto sposobem humor Ziuty został całkiem zdefasonowany, a społeczność Czackiewiczów ciągle cierpi w kolejce do jednej, jedynej kserokopiarki.

Widać wyraźnie, jak ogromny wpływ na społeczność szkolną mają optymiści i pesymiści. Warto także zauważyć, że pesymista nie powiedział Ziucie nieprawdy i optymista także nie okłamał jej ani razu... Nikt zatem nie „wciskał jej kitu”.

Ta nasza reakcja na różne wydarzenia jest szalenie ważna. Widząc zepsute ksero, możemy narzekać, krzyczeć, kopnąć je serdecznie i odejść, ale możemy także jakoś-tam je naprawić!. Optymiści to „nienapaleni idioci”, którzy latają po świecie i szczerzą zęby z byle powodu. Optymista prawdziwy to człowiek, który nie załamuje rąk i nie biadoli, dopóki może coś zmienić (a zawsze może coś zmienić); człowiek, który wierzy w swoje możliwości (a ma je ogromne); człowiek, który potrafi znaleźć dobrą stronę niedobrych wydarzeń i pokazać ją jeszcze komuś (zawsze znajdują się ze dwie).

No i czy takich ludzi nie powinno być troszkę więcej? Może ktoś na ochotnika zmieni frakcję?

*Niektórzy widzą rzeczy takimi, jakimi są, i pytają „Dlaczego?”. Ja marzę o rzeczach, jakich nigdy nie było, i pytam „Dlaczego nie?”.*

*Tylko Ci, którzy są w stanie zaryzykować, że pójdą za daleko, mają szansę sprawdzić, jak daleko można dojść.*

Niestety, nie wiem, kto to powiedział, ale powiedział mądrze, więc Wam powtarzam... :)

**Herbatka**

<sup>1</sup> Akurat tego postępowania optymisty autorka artykułu nie pochwała.

## SZCZĘŚLIWI CZAS LICZĄ!

(A ja czekam i czekam, i czekam...)

Moja koleżanka ma na ścianie kalendarz. Codziennie wieczorem grubym czerwonym „iksem” wykreśla z niego jeden dzień. Moja druga koleżanka kalendarz drukuje sobie sama na komputerze – zostawiając miejsce tak, by można było wpisać w nie różne klasówki, wypracowania i zaznaczyć wolne dni. Ona również codziennie wykreśla sobie jeden dzień. Postanowiłam pójść w ich ślady – również w formie tabeli Microsoft Excela wydrukowałam sobie piękny kalendarz na dwa miesiące, powpisywałam wszystkie ważne wydarzenia, a wściekle odblaskowym kolorem zaznaczyłam dni wolne (abstrahuję już od tego, że tak naprawdę wszystko, co ważne, mam zapisane w innym, książkowym kalendarzu). Wzorem moich koleżanek codziennie wieczorkiem z uczuciem tryumfu mogłam skreślić kolejne „okienko”, dzielące mnie od wymarzonych, wyczekanych dni zaznaczonych kolorem – wolnych od pracy. Aż tu nagle dowiaduję się, że szczęśliwi czasu nie liczą! Teoretycznie wiedziałam od zawsze; co jak co, ale kilka przysłów łyknęłam już w nieco młodszym wieku, ale jednak... Ostatnio właśnie to jedno, rzadko używane, obito mi się o uszy. Na początku nieźle mną to wstrząsnęło, dokonałam analizy własnego życia, sięgnęłam do podwalin własnej egzystencji, poszukując źródeł własnego szczęścia i odpowiedzi na pytanie – „Czy ja w ogóle w takim razie jestem szczęśliwa?”. Wycieczka w głąb własnej psychiki uświadomiła mi, że owszem, jestem szczęśliwa, a jednak czas liczę. Zresztą, nie jestem wyjątkiem, jedynym na świecie liczącym czas szczęśliwcem. W moim rozumowaniu dotarłam do daleko idących wniosków, które da się sformułować w kilku postulatach:

1. Wszyscy liczą czas.
2. Szczęśliwi w takim razie też liczą czas.
3. Sensem życia jest liczenie czasu.

Po pierwsze, czas liczymy częściej, niż nam się wydaje. Liczymy czas do osiemnastych (dziewiętnastych, dwudziestych etc.) urodzin, do wakacji, do długiej przerwy świątecznej, do weekendu, do końca lekcji etc. Właściwie czas liczymy... przez cały czas. Siadam sobie w ławce i po kilku minutach zaczynam odliczać kolejne minuty do dzwonka. Wracam do domu, rzucając plecak w najciemniejszy kąt mieszkania i zaczynam się zastanawiać, ile jeszcze tej harówki przede mną do wymarzonego weekendu.



W kalendarzu mam zaznaczone, ile ogółem zostało dni do wakacji, a ile w tym jest dni pracujących. Liczę, liczę, liczę. A co powoduje to, że tak ciągle liczę (nie, nie, nie – nie miłość do matematyki)? Odpowiedź jest aż banalna w swej prostocie – a brzmi: marzenia. Tak naprawdę odliczam czas do spełnienia się moich marzeń – wielkich (dotyczących dalekiej przyszłości), średnich (wakacyjny wyjazd) i malutkich (CHWILA WYTCHENIENIA!).

Ktoś powiedziałby, że nie umiem docenić chwili obecnej... Ależ umiem, całkiem nieźle mi idzie. W wakacje rzucając kalendarz, tracę poczucie czasu – ale on jednak płynie i po powrocie do szkoły znów zaczynam liczyć. To tak naprawdę nieuniknione.

W rzeczywistości nieszczęśliwa byłabym, gdybym nie miała do czego odliczać. Gdyby każdy dzień miał wyglądać tak samo albo gdybym przez całe życie miała wykonywać jedną czynność, tkwić w jednym miejscu – bez nadziei na odmianę losu – to byłby horror!

W ten właśnie sposób odkryłam, jakie okropieństwa mogą kryć w sobie słowa „wieczność”, „na zawsze” etc. Pojęłam istotę mąk Syzyfa czy Tantalusa – oni nie mieli czasu do odliczania, nie mogli sobie wykreślić dnia z kalendarza, bo takie wykreślenie nic by nie znaczyło, nie przybliżałoby ich do niczego, do żadnej odmiany losu! Bo nieszczęśliwi czasu nie liczą.

Nie mogą, nie mają po co.

Tak więc życie człowieka to wieczne dążenie do jakiegoś celu. Możliwość liczenia czasu nadaje życiu sens. Więc proszę nie wyskakiwać mi z różnymi przysłowiami bez uprzedniego ich dokładnego przemyślenia.

Życzę wszystkim dużo wolnego czasu...

Kaśa

## "DLACZEGO NIE PISZĘ DO CZADKA..."

Wszystkim „Czadkosceptykom” przypominamy, że dzięki ich niebywalej inwencji twórczej powstał dział „Dlaczego NIE piszę do Czadka...”.

Zamierzeniem Redakcji jest drukować tu (bez konsekwencji dla autorów, na życzenie anonimowo etc.) wszystkie opinie nt. Czadka. Taki Hyde Park.

Na listy od Was czekamy niecierpliwie pod adresem:

[czadek@czacki.edu.pl](mailto:czadek@czacki.edu.pl)

śvistak

PS. Wszystkich naszych Czytelników prosimy o przekazanie swoim znajomym „przeciwnikom Czadka” informacji, że taki dział powstał. Chyba nie powinniśmy oczekiwać, aby nasi przeciwnicy Czadka czytali...

## NIEUSTAJĄCY NABÓR REDAKTORÓW

Redakcja Czadka przypomina, iż KAŻDY (bez względu na płeć, profil, wiek, masę ciała, rasę, wyznanie, kolor włosów, oczu, orientację seksualną i jakiegokolwiek inne parametry) może stać się TWÓRCĄ. To bardzo proste. Wystarczy chcieć. Chcieć zrobić coś dla innych bądź chcieć coś napisać. Wyżyć się literacko (lub czysto fizycznie na klawiaturze swego komputera tudzież psychicznie na Czytelnikach). Istnieją ludzie, dla których każdy taki przejaw inwencji jest błogosławieństwem. Ludzie, którym ZALEŻY na tym, aby nasza Szkoła, nasz Czacki nie był gorszy od innych liceów, ba - nawet gimnazjów i podstawówek. Nie chcemy pozostawać w tyle. Dlatego to robimy. Dlatego tworzymy Gazetę, którą, Droga Czytelniczko lub Drogi Czytelniku, właśnie trzymasz w dłoniach bądź oglądasz na ekranie komputera - tworzymy Czadka. Nie jest to zadanie proste - wymaga wielu godzin pracy. Pracy naszych Redaktorów, korektorów (także prof. Zięby, która, tak jak my wszyscy, robi to wyłącznie z dobrej woli), grafika, składacza. Wymaga godzin poświęconych przez prof. Kurana, który powiela nasze wycpiny.

Ponieważ nam wszystkim ZALEŻY, chcielibyśmy, aby Czadek funkcjonował - ukazywał się, rozwijał... Niestety, coraz rzadziej spotykamy się z podobnym głosem wśród społeczności Czackiewiczów. Najlepiej obrazuje to spadająca liczba Redaktorów. Cóż... ata i ja w przyszłym roku będziemy w klasach maturalnych i nie podołamy prowadzeniu gazety. Chciałbym, abyśmy teraz nie musieli żyć tylko i wyłącznie nadzieją na przyszłoroczne pierwsze klasy i, aby nigdy nie wykształciło się u mnie przekonanie, że na WAS nie można było liczyć...

[czadek@czacki.edu.pl](mailto:czadek@czacki.edu.pl)

Żywiący jeszcze nadzieję,  
że nie jest to jeden z ostatnich numerów,  
śvistak

## PESTIWAL - DVD

### Uwaga! Uwaga!

Szefostwo Sekcji Informacyjnej informuje, że już od poniedziałku, 23 maja br., na swoich nowych właścicieli czekają upragnione przez nich płyty DVD z nagraniami festiwalowych przedstawień. Płyty owe, zgodnie z listą, powstała w czasie Festiwalu, można nabywać u aty i śvistaka. Serdecznie zapraszamy po odbiór zamówień.

W imieniu Sekcji Informacyjnej,  
śvistak

## TEXTY NAUCZYCIELI

### Uwaga! Uwaga!

Reaktywujemy w Czadku dział z tekstami naszych kochanych Pegagogów.

Prosimy wszystkich, będących w posiadaniu takich, o przesyłanie błyskotliwych wypowiedzi Nauczycieli na adres [czadek@czacki.edu.pl](mailto:czadek@czacki.edu.pl).

„Mieszkamy w klimacie umiarkowanym,  
w którym olej rzepakowy rośnie” – prof. Najder

„A skąd ja stopnie wezmę? Blondynkom piątki,  
a chłopcom dwójki...” – prof. Fuksiewicz

„Mężczyźni mają więcej enzymu  
rozkładającego etanol. Być może w drodze  
ewolucji okazało się to konieczne” – prof.  
Kosińska

„Poczekaj chwileczkę, bo ja usiłuję myśleć.  
To mi się rzadko zdarza” – prof. Koszycka

„Jak się niezdrowo podniecasz seksualnie,  
to też doznajesz przyspieszenia pracy serca –  
no, zmierz sobie tętno...” – prof. Olech

prof. Zięba: -Karolku, czy dostałeś kiedyś od  
nauczyciela kredą?

Karol: -Nie...

prof. Zięba: -To wszystko przed tobą...

spisał: śvistak

## STOPKA REDAKCYJNA:

### Red. Nacz.:

Agata "ata" Tomaszuk 2b

Witek "śvistak" Granicki 2e

### Korekta:

Olga Gądek 2c

### Redaktorzy:

Kasia "Kaśa" Tropiło 2b

Tomek "KoZa" Kozioł 1b

Magda "Herbatka" Leczkowska 2a

Agnieszka Olech 2b

m.

### Grafika:

q\_ska

### Rozkładówka:

ks. Marcin

Agnieszka Sterczyńska 1b

Marcin Markiewicz 2e